CO SŁYCHAĆ



Nr 28 15.XI.1943. 6d.

<u>OKŁADKA:</u> Król włoski, Wiktor Emanuel III. Odziedziczył tron po swym ojcu, Umberto, zamordowanym 29 lipca 19oo roku. 11 listopada kończy 74 lata. Panowanie Wiktora Emanuela trwa już ponad 43 lata.

<u>ŁAMIGŁÓWKA.</u> /Ułożył A.W./

Wypisać obok siebie jedenaście słów trzysylabowych. Część końcowa słowa poprzedzającego /przeważnie ostatnia sylaba/ jest początkiem słowa następującego /przeważnie pierwsza sylaba/.

ZNACZENIE SŁÓW:

1.Kościół. 2........ 3.Rosyjski dramaturg. 4......... 5.Mały okręt. 6.......... 7.Kawiarnia. 8........... 9.Kaźnia. 10.........11.Okup.

Rozwiązanie podane zostanie w 30 numerze.

Redakcja podaje do wiadomości Czytelników, że posiada jeszcze na składzie pewną ilość roczników "Co Słychać" z 1942 roku, po cenie S.12/- za komplet, oraz pojedyncze numery z roku 1941 po 5d. za egzemplarz. Przesyłka pocztowa bezpłatnie. Wszystkie artykuły całkowicie aktualne.

DO SPRZEDANIA DWA PRZEPISOWE PASY OFICERSKIE. Cena przystępna. Bliższe wiadomości w redakcji "Co Słychać".

CENA NUMERU 6d. PRENUMERATA KWARTALNA 3/-
REDAKCJA I ADMINISTRACJA
43, BRUNTSFIELD PLACE, EDINBURGH, 10.
Tel. 53o61.

Ciężki los rozbitka.

Streszczenie według "Coronet", autor Beril Becker.

"Nadać sygnały o pomoc. Jesteśmy storpedowani! Radiotelegrafista Harley A. Olson wyskoczył z łóżka i zaczął zapamiętale wystukiwać sygnały radiowe. Okazało się jednak, że niema prądu. Na pokładzie załoga i pasażerowie tłoczyli się do łódek ratunkowych. Olson porzucił w końcu bezużyteczne radio, wskoczył do wody i zaczął pływać.

Nagle w ciemności dotknął ręką czegoś twardego. Była to jedna z tratew ratunkowych. Wydrapawszy się na nią, Olson się zdziwił, że była pusta. Zaczął wołać na wszystkie strony, lecz bezskutecznie. Pierwsze wrażenie strachu opuściło go wreszcie. Przypomniał sobie, że tratwa posiada zaopatrzenie i żywność dla 15 ludzi na kilka tygodni.

O świcie zauważył, że dokoła tratwy pływają małe pakunki. Wyłowił jeden z nich. Papierosy. Wkrótce nazbierał takich 50 paczek.

Trochę później spostrzegł drugą tratwę. Chwycił ją i przywiązał do swojej. W morzu pływała wywrócona kanapa. Wciągnął ją na pokład tratwy. Wreszcie pokazała się trzecia tratwa. Olson nie wierzył swym oczom. Nie tylko stał się dowódcą małej floty, lecz miał coś w rodzaju sypialni. Z kanapy i kilku skrzynek zrobił sobie łóżko, nad którym skonstruował baldachim z koców.

Rano zjadł doskonałe śniadanie, złożone z sardynek w sosie pomidorowym i biskwitów. Na kolację zaś miał tuńczyka z puszki i świetną fasolę. Następnego dnia z bandaży opatrunkowych zrobił siatkę i złapał kilka ryb. Ze skrzynek skonstruował sobie mały domek, a z trzech flag uszył żagiel.

Morze było spokojne. Gdy słońce dopiekało, kąpał się w morzu, a potem zażywał dowoli słonecznej kąpieli, wygodnie rozłożony na kanapie. Wieczorami oznaczał ubiegły dzień, kreskując go na maszcie, wypalał papierosa i urządzał sobie krótki spacerek na tylnej części dwóch związanych

razem tratew. Żaden książe nie mógł urządzić sobie tak wygodnej podróży.

Pływanie Olsona trwało 28 dni. Spotkał on w końcu konwój, który go wyłowił z morza.

Teraz dopiero zaczęły się jego kłopoty. Kapitan statku nie uwierzył w opowiadanie Olsona. Żaden człowiek nie wyglądałby tak zdrowo po czterotygodniowej podróży na otwartej tratwie. A gdzie wpadnięte policzki i podkrążone oczy, jakie ma każdy morski rozbitek? Oczywiście jest sabotażystą, pozostawionym przez niemiecką łódź podwodną, aby dostać się w ten sposób do Stanów Zjednoczonych.

Gdy więc Olson wylądował na Florydzie, wzięli go w obroty detektywi. Musiał przesiedzieć w zamknięciu parę dni, zanim sprawdzono odciski daktyloskopijne jego palców, pobierane od wszystkich radiooperatorów i przechowywane w archiwach. Wtedy dopiero go zwolniono.

A nauka z tego taka, że szanujący się rozbitek morski czy lotniczy, nie powinien mieć zbyt wygodnej, powrotnej podróży, aby wyglądać na prawdziwego rozbitka.

Szalony lord. Dokończenie.

Po załatwieniu sprawy z diamentami Suffolk zgłosił się na ochotnika do badań nad bombami. Dotychczas te badania były świetnym zajęciem dla zdecydowanych samobójców. Lecz Suffolk uważał, że jest dużo pewniej, aby kilku doświadczonych ekspertów wykonywało tę ryzykowną pracę i następnie uczyło innych, jak należy obchodzić się z nierozbrojonymi bombami. Naukowe przygotowanie było dlań wielką pomocą. Zbudował specjalny samochód ciężarowy i wyposażył go w różne precyzyjne instrumenty. Lekceważąc zawsze wyższe klasy społeczeństwa brytyjskiego, swych pomocników /10 mężczyzn i 1 kobietę/ dobrał sobie z pośród ludzi, których lubił najbardziej. Byli to robotnicy z doków londyńskich /t. zw. "cockneys"/, których specyficznym dialektem władał

doskonale, rozumiał ich tryb życia i zgadzał się z ich poglądem na świat. Niektórzy z nich ledwo potrafili się podpisać, lecz wszyscy posiadali szczególną właściwość, cechującą miliony Brytyjczyków z ciasnych i zadymionych uliczek miast przemysłowych - śmiałość i pogardę śmierci.

Badanie bomb stało się szybko ulubionym zajęciem Suffolka, a wynalezienie nowego typu bomby wprawiałą go w zachwyt. Pewnego razu dwaj generałowie brytyjscy zamarli z przerażenia w salonie hotelowym, gdy Suffolk zaczął coś majstrować przy takiej bombie. Widząc ich przerażenie, uspokoił ich mówiąc: "Nie ma obawy! Bomba ta jest zupełnie bezpieczna, dopóki nie przekręci się tej małej sprężyny. Właśnie próbuję ją ulepszyć".

Suffolk obchodził się z bombami w sposób niemal obrzędowy. Oglądał je ze wszystkich stron, opukiwał, nadsłuchiwał i przemawiał do nich swym obrazowym językiem. Gdy kończył badania i pomiary, dyktował sekretarce plan rozładowania bomby. Gdyby zdarzył się wypadek, to inni będą wiedzieli co robić dalej. Potem wyjmował długą cygarniczkę z ust, drugą taką samą z kieszeni kamizelki, wręczał je najbliższemu pomocnikowi, mówiąc: "Potrzymaj to chwilę. Może im się co zdarzyć". Był to sygnał dla całej grupy ukrycia się w bezpiecznym miejscu.

Pomimo tej brawury Suffolk był jednak bardzo ostrożny. Przedsiębrał zawsze wszelkie środki dla bezpieczeństwa własnego i swych pomocników. W jaki sposób udało mu się wyjść cało z różnych wypadków, członkowie dyrekcji badań naukowych nie potrafiliby wyjaśnić. Zwykle zjawiał się i spokojnie oświadczał, że jakaś bomba wybuchła podczas doświadczenia, lecz trudno było wydobyć z niego, w jaki sposób wyszedł cało, nierozerwany na kawałki.

Jego współpracownicy również nigdy nie wiedzieli, co zrobi ich mistrz. Pewnego dnia, w zimie, gdy cała grupa jechała poprzez jakąś bezludną połać kraju, Suffolk nagle zapytał: "Chłopcy, wartoby się napić herbaty i coś przegryźć?"

- "Wolne żarty" - odpowiedzieli wszyscy chórem.

Suffolk zatrzymał wóz, wyjął pistolet i oddał dwa strzały w powietrze. Z za wzgórza wyjechał samochód, zatrzymał się i szofer z lokajem podali doskonały angielski podwieczorek. Towarzysze Suffolka nie wiedzieli naturalnie, że znajdowali się o paręset metrów od jego majątku. Ale po tym wypadku wierzyli, że jest on wszechmocny.

Szczęśliwie zakończona praca czy doświadczenie były zawsze obchodzone w sposób uroczysty i oryginalny. Suffolk ładował całą grupę do samochodu i wiózł ich do restauracji Kempinsky'ego na Piccadilly Circus, gdzie był zarezerwowany dla niego stolik. Kwestia czasu czy też ubrania nie odgrywała żadnej roli w fantazjach Suffolka. Dystyngowani goście byli oburzeni, widząc grupę zamorusanych robotników, którzy wtargnęli do szykownego lokalu. Uspakajano ich szeptem magicznych słów: "To lord Suffolk".

Suffolk musiał zdawać sobie sprawę ze swego losu. Gdy wychodził z restauracji, często mówił do kelnera: "Feliksie, pewnego wieczoru tylko ten mały palec lub być może jedno moje ucho przyjdzie tu na obiad. Bądźcie dobrzy dla nich, Feliksie, gdyż to będzie wszystko co pozostanie po mnie".

Feliks dotychczas mu przygotowuje zastawę na jednym ze stolików: "To tak jak w kościele, gdzie zapala się świecę dla uczczenia pamięci kogoś, kto rozstał się z tym światem".

Śmierć Suffolka była jednym z tych wypadków, które on nazwałby "przeklętym głupstwem". Grupa jego pracowała ostątnio bardzo ciężko i miała wyjechać na dwutygodniowy odpoczynek do majątku Suffolka, w krórym urządził on szpital i dom wypoczynkowy dla żołnierzy.

Ostatnie popołudnie spędzono w laboratorium, czyszcząc narzędzia i porządkując badany materiał. Między innymi przez szereg miesięcy w kącie leżała stara, wybrakowana bomba. Ktoś na niej napisał "Wierna staruszka" i uważano ją już jako stałą mieszkankę laboratorium. Suffolk nagle zdecy-

dował się rozebrać "wierną staruszkę". Nikt nie zwrócił na to uwagi.

Na ćwierć mili dokoła wyleciały szyby z okien, a w pobliskim mieście zatrzęsła się ziemia. Ośmiu pracowników Suffolka zginęło. Eksperci ogłosili urzędowo, że jeden kawałek ludzkiego ciała pozostał tylko jako doczesne szczątki lorda Suffolka. Złożono to do małej skrzyneczki i pochowano w starej kaplicy starożytnego zamku Suffolków.

W ten sposób zginął w wieku 36 lat "Dziki Jack" 20-ty lord Suffolk i 13-ty lord Berkshire ze znakomitego rodu Howard. Na rodowej tarczy herbowej zawisł Krzyż Jerzego, najwyższe odznaczenie jakim W.Brytania nagradza swych cywilnych bohaterów.

Trzecia Rzesza od wewnątrz.

Podajemy dziś drugą część streszczenia książki szwedzkiego dziennikarza i historyka, Arvida Fredborga. Pierwszą część zamieściliśmy w Nr.26 "Co Słychać".

Strach jest coraz bardziej dominującym uczuciem w życiu Niemiec.

Wzrost tego uczucia można było obserwować w nastrojach ludności, jakie zachodziły po odniesionych porażkach w Rosji i Północnej Afryce. Po każdej przegranej pogłębiał się upadek wiary w przywództwo i mądrość polityczną Hitlera.

Wybuch wojny przeciwko Rosji został przez Niemców przyjęty z ulgą, chociaż bez entuzjazmu, jako rzecz nieuniknioną. Oczekiwano zresztą krótkiej kampanii, trwającej 3 do 6 miesięcy.

W październiku 1941 r. Dietrich, szef prasowy Hitlera, oświadczył dziennikarzom zagranicznym: "Wojna na Wschodzie jest właściwie zakończona, pozostaje tylko do wykonania całkowite spacyfikowanie zdobytych terenów oraz wykorzystanie klęski nieprzyjaciela". Lecz w 7 tygodni potem nadeszła pierwsza, nieoczekiwana porażka - ofensywa rosyjska pod Rostowem.

Wiadomość o odwrocie niemieckim z pod Rostowa zakomunikowano dziennikarzom w ministerstwie pro-

pagandy, gdzie panowała już trudna do ukrycia atmosfera klęski. Chociaż przytaczano długie wyjaśnienia, dlaczego odwrót z pod Rostowa był korzystny dla Niemiec, Rostów był pierwszym"zimowym niepowodzeniem Niemiec". Listy strat na froncie oraz długie pociągi sanitarne z rannymi ze wschodu pogłębiały upadek ducha.

W dwa tygodnie potem nastąpił atak na Pearl Harbour i wypowiedzenie wojny przez Amerykę. Przypomniało to Niemcom 1917 r. i wątpliwości w zwycięstwo rosły. Gdy Hitler w operze Krolla wypowiadał Ameryce wojnę, używając słów obrażających osobiście prez. Roosevelta, ani jeden z pośród obecnych generałów i admirałów nie podniósł ręki do bicia oklasków.

Była to ciężka zima i gdy żołnierze zaczęli przybywać z frontu wschodniego na urlop, stało się jasnym w Niemczech, że po raz pierwszy w tej wojnie armia niemiecka ma do czynienia z przewagą liczebną i że jest na tę kampanię niedostatecznie wyekwipowana.

Nastrój ten panował aż do lata 1942 r., t.j. do ofensywy Rommela w pustyni Libijskiej. Upadek Tobruku zeelektryzował Niemców tak samo jak upadek Francji. W Berlinie mówiono: "Może jednak Rommel wygra tę wojnę". Oficjalny Berlin upajał się tym zwycięstwem. Urzędnicy z Wilhelmstrasse mówili: "Na Bliskim Wschodzie nastąpi kleszczowe uderzenie z dwuch stron. Potem przyjdzie wielka ofensywa na Indie dla połączenia się z Japonią i nasi spadochroniarze znajdą się w Afganistanie".

Zamiast tego jednak nastąpiła bitwa pod El Alamein - nowy cud nad Marną tej wojny. Gdy stało się jasne, że Egipt wymknął się z rąk niemieckich, urzędnicy propagandy twierdzili: "To jest wina Włochów - popełniają oni jedną zdradę za drugą".

Uczucie strachu przed klęską zagnieździło się ponownie w umysłach niemieckich, tym razem na dobre. Jeden z Berlińczyków powiedział do autora: "Abyśmy mogli wygrać tę wojnę, powinniśmy posiadać rosyjską broń, brytyjską żywność, Włochów ja-

ko nieprzyjaciela, a Hitlera jako nieznanego żołnierza".

Ministerstwo propagandy urządzało szereg konferencji dla dziennikarzy neutralnych, aby wyjaśniać im przebieg operacji wojennych. Nie wszystkie one jednak wypadły po myśli Goebbelsa.

Po upadku Krety na jednej z tych konferencji był Rommel i oświadczył dziennikarzom, że żołnierze brytyjscy są tchórzami i walczą w sposób nieuczciwy. Jeśli chodzi o dziennikarzy neutralnych, oświadczenie to wyrządziło szkodę tylko Niemcom, a nie Brytyjczykom. Rommel poza tym oświadczył dosłownie, że Brytyjczycy są pobici, a Niemcy wkrótce zdobędą Egipt.

Lecz w tydzień później przyjechał prosto z pola walki na Krecie kapitan von der Heyman i nie będąc odpowiednio poinformowanym przez Goebbelsa, przybył na konferencję dla neutralnych dziennikarzy. W obecności przerażonych urzędników oświadczył bez ogródek: "Brytyjczycy są twardymi i dzielnymi żołnierzami. Nacierali oni 17 razy na mój batalion. Gdyby uderzyli jeszcze raz, bylibyśmy zmuszeni się poddać. Na szczęście jednak nie uderzyli". Kapitan dał szereg dowodów brawury i odwagi ze strony Brytyjczyków . Było to potknięcie się propagandy niemieckiej, o którym mówiono w Berlinie przez szereg tygodni.

Przeciętny Niemiec w głębi duszy wie i czuje, że Brytyjczycy zawsze wygrywają ostatnią bitwę i posiada dla nich podświadome uczucie podziwu. Naziści wiedzą o tym i robią co mogą, aby przeciwdziałać przy pomocy propagandy.

Niemcy zadziwiająco mało wiedzą, co się dzieje w Wielkiej Brytanii w czasie tej wojny. Natomiast Brytyjczycy wiedzą daleko więcej, gdyż brytyjska służba wywiadowcza oplotła Niemcy swoją siecią. Cała Rzesza jest dosłownie naszpikowana agentami brytyjskimi. Niektórzy z nich są tam bardzo długo, lecz inni ciągle lądują z powietrza i wracają małymi łodziami z wybrzeża francuskiego, belgijskiego lub holenderskiego, a na morzu zabierani są przez łodzie podwodne lub wodnopłatowce.

Agenci ci są świetnie wyekwipowani. Niemcy opowiadają, że przychwyceni członkowie wywiadu brytyjskiego zaopatrzeni są w oryginalne i całkowicie wiarogodne papiery, przepustki wojskowe, karty żywnościowe itd.

Wykrycie następuje zwykle całkiem przypadkowo i potrzeba dużo czasu, aby im udowodnić, iż nie są tymi, za których się podają.

Zdarzył się wypadek w berlińskiej kolei podziemnej, że pewien podporucznik zatrzymał sierżanta-szefa, który z powodu jakiejś drobnostki wydał mu się podejrzany. Po dokonaniu rewizji okazało się, że był to agent brytyjski, przewożący fotografie i plany.

Po wojnie dowiemy się, że wielu wysoko postawionych nazistów przez całe lata pracowało dla wywiadu brytyjskiego.

Następny cios otrzymali Niemcy 8 listopada 1942 r. Wrażenie, jakie w Berlinie wywarło lądowanie Sprzymierzonych w Półn. Afryce, było niesamowite. Ministerstwa propagandy i spraw zagranicznych były podobne do brzęczących uli, a urzędnicy odchodzili od zmysłów, klnąc wobec dziennikarzy neutralnych na "to brutalne złamanie prawa międzynarodowego."

Hitler otrzymał wiadomość w okolicznościach bardzo dla niego przykrych. Tego wieczora miał przemawiać w Monachium i był wtedy w pociągu. Próbowano doręczyć mu wiadomość na stacjach pośrednich, lecz nie udało się to. Ostatecznie więc doręczono mu fatalne wiadomości po przybyciu na miejsce, tuż niemal przed przemówieniem. Oczywiście, że tego rodzaju nowina musiała się odbić na tonacji jego głosu.

Lądowanie w Afryce uwidoczniło narodowi niemieckiemu powagę i beznadziejność sytuacji. Od tego czasu obawa przed następstwami klęski jest naczelnym motywem zachowania się Niemców i prowadzenia przez nich walki.

Policyjne metody zapobieżenia otwartej krytyce, zostały mocno zaostrzone. Rozstrzelano trzydzieści osób po wykryciu sabotażystów pośród

urzędników cenzury pocztowej.

Wrogość do nazistów wzrasta we wszystkich sferach, a duchowni stali się najbardziej wymownymi ich krytykami.

W całych Niemczech opowiada się historie o biskupie Schulte'm z Kolonii, który w czasie kazania mówił o "kłamstwie, kusztykającym po całych Niemczech". Biskupa wezwano do Gestapo, aby wytłomaczył o czym myślał, przemawiając w ten sposób o ministrze propagandy, Goebbelsie, który jak wiadomo kuleje. Oburzony biskup odpowiedział: "Nie rozumiem o czym panowie mówią. Ja miałem na myśli diabła". Musiano go zwolnić wobec takiego wyjaśnienia.

Katastrofa pod Stalingradem wywołała w całych Niemczech żałobę i gniew. W tramwajach i autobusach widziało się powszechnie twarze skurczone z bólu. Jednocześnie zaś szeptano naokoło i narzekano na złe dowodzenie - i oczywiście każdy wiedział o kim mowa.

W tym to czasie autor książki był w Wiedniu i był zdumiony wrogością, jaką okazywali Austriacy Niemcom, pochodzącym z północnych Niemiec. W jednej z restauracji widział urzędnika pruskiego skarżącego się, że otrzymał za mało mięsa. Gdy kelner tłumaczył się, że nie może mu dać więcej, urzędnik wpadł w gniew, zwymyślał Austriaków od niedołęgów, wołając: "My was nauczymy dyscypliny i rozumu". Kiedy prusak wyszedł, kelner podszedł do autora, przeprosił go za tę scenę, dodając: "Pan wie sam, co to są Prusacy. Oto dlaczego wszędzie jednakowo ich miłują".

Niemcy w Wiedniu byli świadomie wprowadzani w błąd i mylnie kierowani. Gdy ktoś zażądał czegoś w sklepie i mówił akcentem północno-niemieckim, z zasady odmawiano mu sprzedaży pod lada pozorem. Natomiast Austriacy i cudzoziemcy dostawali wszystko.

Popularność Churchilla w Austrii jest zdumiewająca. Było to w czasie choroby Churchilla na zapalenie płuc. Autor był na przyjęciu towarzyskim w Wiedniu i słyszał jak jakaś pani pyta-

ła gospodyni domu: "Jak on się czuje dziś"? Gospodyni odpowiedziała: "Ostatnie wiadomości są dobre. Powraca szybko do zdrowia". Obydwie mówiły o brytyjskim premierze.

Gdy autor wrócił do Berlina, obserwował reakcje Niemców w stosunku do drugiego Stalingradu - kapitulacji Tunisu. Znaczenie tego wydarzenia było w całej pełni doceniane przez społeczeństwo niemieckie. Władze niemieckie uciekły się do drastycznych zarządzeń, aby odwrócić od Tunisu uwagę opinii publicznej. Używając taktyki zabijania złej wiadomości przez jeszcze gorszą, ogłosili znaczne zmniejszenie racji mięsa. Oburzenie i rozgoryczenie publiczności było tak wielkie, że istotnie o Tunisie zapomniano. Lecz sytuacja moralna przez to nie uległa poprawie. Przy końcu wiosny tego roku zmęczenie wojną osiągnęło w Niemczech stopień niebywały. Wzrosło ono i uwydatniło się jeszcze bardziej po zdobyciu Sycylii i kapitulacji Włoch. W ten sposób krok za krokiem, zmęczenie wojną i strach przed klęską, zapanowały całkowicie nad myślami Niemców.

W 1941 r. strach był jednym z pięciu czy sześciu uczuć, kierujących aktywnością nazistów. W ostatnim roku jest on głównym czynnikiem i uczuciem. Dziś, gdy do przegranych bitew doszły ciężkie bombardowania Niemiec, strach przed następstwami klęski urósł do rozmiarów, graniczących z rozpaczą.

Magnez - metal przyszłości.

Streszczenie według "The Canadian Forum", Toronto /autor Ross L,Holman/.

Przed dwoma laty wydobyto po raz pierwszy z największej na świecie kopalni ten metal. Kopalnia ta jest bogatym Eldorado, zajmuje trzy czwarte powierzchni ziemi, a metal wydobywa się z niej przy pomocy rur i zbiorników. Uczeni oddawna wiedzieli, że woda morska zawiera dużą ilość magnezu. Gdy wojna obecna wytworzyła ogromne zapotrzebowanie na ten metal, w Ameryce zaczęto kalkulować koszty jego wydobycia z wody morskiej i od razu

stwierdzono wielkie możliwości. Obecnie w Freeport, w stanie Texas, wydobywa się więcej magnezu z zatoki Meksykańskiej, niż wydobywano go w całej Ameryce z różnych innych źródeł.

Magnez jest metalem, z którego w przyszłości będzie można robić masę rzeczy. Nie jest to bynajmniej sprawa wymagająca nowych wynalazków, lecz poprostu kwestia nowych metod produkcji. W morzu znaleziono już tak wiele bogactw, że przekraczają one nawet zapotrzebowanie całej ludzkości. Chodzi tylko o to, czy koszty wydobycia będą dostatecznie niskie i opłacalne. W morzu znajduje się srebro, złoto, żelazo, miedź, sól, jod, potas, siarka, sole Epsomskie, brom, chlor i wogóle wszystko, co jest ludziom potrzebne. Morze ma tę zaletę, że nie trzeba przeszukiwać całego ogromnego obszaru, aby znaleźć miejsce, zawierające te bogactwa. Wystarczy zanurzyć kubełek gdziekolwiek i w jego zawartości znajdzie się wszystko.

Obecnie magnez niezbędny jest do prowadzenia wojny. Trzeba było jej wybuchu, aby ocenić rzeczywistą wartość tego metalu. Jeżeli chodzi o praktyczne i szerokie jego zastosowanie, nie istniał on prawie aż do początku dwudziestego wieku. W małych ilościach używano magnezu do wyrobu sztucznych ogni oraz w fotografii. Niemcy zorganizowali produkcję w skali przemysłowej i stali się centrum zaopatrzenia dla całego świata. Stany Zjednoczone i Kanada otrzymywały magnez z tego właśnie źródła, dopóki pierwsza wojna nie wstrzymała dostawy. Towarzystwo Chemiczne DOW wyprodukowało w 1915 r. ze słonych źródeł nad jeziorem Michigan pierwszą sztabę magnezu.

Mimo, że znano metodę produkcji magnezu, istniało bardzo małe zapotrzebowanie na ten metal. Dopiero lotnictwo dało duże możliwości jego zastosowania. Stwierdzono mianowicie, że ogromne ilości aluminium w bombowcach i myśliwcach można zastąpić magnezem. Aluminium wyrabia się z rudy bauksytowej, której większość Ameryka przywoziła z brytyjskiej i holenderskiej Gujany. Wydobycie

bauksytu nie jest wielkim problemem, lecz przywóz tej rudy z odległości kilku tysięcy mil morskich, przy niebezpieczeństwie łodzi podwodnych, stwarza ogromne trudności. W rezultacie doprowadzono do tego, że każdy samolot zawiera dzisiaj około 1000 funtów magnezu, a aby to uzyskać, wystarczy zbudować odpowiednią fabrykę gdziekolwiek na wybrzeżu morskim i czerpać dowoli ten surowiec z morza.

1000 funtów magnezu w samolocie zastępuje o wiele większą ilość aluminium, gdyż magnez jest lżejszy. Jeszcze do niedawna aluminium było królem lekkich metali, lecz magnez zdetronizował je na długi czas. Po wojnie magnez znajdzie ogromne zastosowanie w codziennym, domowym użytku. Przed wojną Stany Zjednoczone produkowały rocznie 2000 ton. Wysokość produkcji obecnej jest tajemnicą wojskową, lecz muszą to być ogromne ilości, skoro cena funta magnezu spadła z 5 dolarów na 22 i pół centa, czyli przeszło dwudziestokrotnie.

Poza wodą morską, źródłem, z którego produkowano magnez jest minerał, zwany magnezytem. Drugim są słone źródła nad jeziorem Michigan, które posiadają wodę zbliżoną chemicznie do wody morskiej. Zakłady przemysłowe w Freeport, w stanie Texas, znajdują się po jednej stronie wąskiego pasma lądu, który wchodzi głęboko w morze. Dziennie pompuje się z morza 300 milionów galonów wody do przeróbki. Oprócz magnezu wydobywa się również brom, potrzebny do wyrobu różnych chemikalii.

Po wydobyciu magnezu woda jest przepompowywana na drugą stronę półwyspu, aby nie nastąpiło rozcieńczenie po stronie jej pobierania pierwszego. Produkcja składa się z trzech procesów chemicznych. Woda morska mieszana jest w ogromych zbiornikach z wapnem, z czego otrzymuje się tak zwane mleko magnezowe. Ta mieszanina traktowana jest kwasem solnym, dla otrzymania chlorku magnezowego. Ten ostatni związek poddaje się działaniu prądu elektrycznego celem wydzielenia

z niego chloru. W ten sposób osiąga się płynny metal, który dla handlowego użytku odlewany jest w sztaby.

Sztaba magnezu posiada wagę niemal piórkową. Do przeniesienia sztaby żelaza tej samej wielkości co 100-funtowa sztaba magnezu potrzeba dwuch ludzi. Stopa sześcienna magnezu waży 112 funtów, a stopa aluminium 175 funtów. Proporcjonalnie do swej wagi magnez posiada ogromną moc i wytrzymałość.

Z 800 ton wody morskiej produkuje się tonę magnezu. Z mili sześciennej wody morskiej można wyprodukować 4 i pół miliona ton magnezu. Mamy zaś na kuli ziemskiej 325 milionów mil sześciennych wody morskiej. Dla uproszczenia rachunku podajemy, że zwykła wanna, napełniona wodą morską,zawiera około świerć funta magnezu.

Po wojnie zapotrzebowanie na magnez przewyższy obecną produkcję wojenną. Jeżeli lotnictwo po wojnie rozwinie się na taką skalę, jak przewidujemy, to do budowy samolotów potrzeba będzie ogromnej ilości magnezu. W każdym samolocie wojennym użyte jest tysiąc funtów magnezu do budowy kół, części silnika, zbiorników paliwa, pokrycia kadłuba i innego oporządzenia. Lecz to jest dopiero początek. Przewiduje się użycie magnezu do budowy wagonów kolejowych, samochodów, rowerów, wózków dziecinnych, garnków i patelni kuchennych, a nawet do wyrobu mebli. Główną zaletą magnezu jest jego lekkość. Gospodyni domu, robiąc porządki, będzie mogła z łatwością przesuwać po pokoju kredensy, komody i stoły. Najważniejsze zaś, że zapotrzebowanie na magnez może być pokryte w każdej ilości, gdyż źródło wydobywania jego z 3/4 powierzchni globu ziemskiego jest niewyczerpane.



Na spotkanie wiosny.

Idziemy! Do Generała Sikorskiego! Dość tego biernego wegetowania. Będziemy znowu walczyć i będziemy znowu wolnymi ludźmi, a nie szczutymi niewolnikami.

Decyzja powzięta i teraz odczuwam, jakby pewną ulgę moralną. Pomimo całej trudności zamierzonego przedsięwzięcia, otucha wstępuje w serce.

Zachowanie się żony, która zamiast spodziewanego oporu, okazuje całkowite zrozumienie tak dla sytuacji jak dla obowiązku, utwierdza mnie jeszcze w moim postanowieniu. Kiedy, chcąc zawiadomić o powziętej decyzji, zwróciłem się do niej dobierając słów i argumentów, wysłuchała i ani chwili nie wahając się, tak jakby już sama to wszystko przemyślała, odrzekła krótko:

- Zabieraj Jurka i idź!

I to wszystko! Tylko jej wargi ułożyły się w podkówkę i zlekka zadrżały. A przecież w normalnych czasach rozchorowałaby się na myśl, że pieszczony jedynak mógłby podczas zimy maszerować przez góry, zamiast spać w łóżeczku /po sprawdzeniu, czy od okna nie wieje/. Jednakże prawdą jest, że wojna i nieszczęścia, to próba charakterów.

Teraz pozostaje do rozstrzygnięcia kwestia, jak iść, którędy, i sprawa pieniędzy na drogę, a zdaję sobie sprawę, że pieniędzy trzeba sporo.

Przez kordon sowiecki i Rumunię niema co i marzyć, bo Niemcy pilnują i Moskale, więc jest sprawa podwójnie trudna. Przez Karpaty na Węgry? Góry i śniegi, ale droga krótsza. Wprawdzie powiadają, że też już mocno pilnują, że psy wartownicze itd., ale przecież wszystkich gór nie odrutowali i zwartym kordonem nie stoją, więc raczej tędy.

Sprawę rozstrzyga kuzynka, która utrzymując swoje dawne stosunki z harcerstwem, podejmuje

się nawiązać kontakt z organizacją konspiracyjną i zdobyć wszelkie informacje.

Rzeczywiście po kilku dniach zawiadamia mnie, żebym zgłosił się do niej,gdyż przed wieczorem przyjdzie pewna osoba, która wszelkich informacji udzieli.

Idę i czekam. Nakoniec zjawia się młodziutka panienka i wyjaśnia: Droga, a raczej marszruta, jest. Profesor N., który ją ustalił, przeszedł jako kurier naszego konsulatu z Węgier do Polski i z powrotem kilkakrotnie. Obecnie jest już na Węgrzech. Ponieważ ostatnio spodziewano się rewizji więc napisana przez niego marszruta została zniszczona ale panienka zna ją na pamięć, więc - ....proszę notować, podyktuję. Potem pro szę się nauczyć na pamięć i kartkę zniszczyć.

Marszruta ta przedstawia się mniejwięcej następująco:

Pociągiem do Nowego Targu, omijając Kraków. Z Nowego Targu do Krynicy chodzi autobus. Gdyby jechało za dużo Niemców, wynająć taksówkę. W Krynicy wynaleźć pewną willę, której właściciel nazywa się X /cechy rozpoznawcze/. Upewnić się, że się rozmawia właśnie z nim i zapytać: "czy pani Maria mieszka w tej willi". On ma odpowiedzieć: "mieszkała, ale przed wojną". O ile jego nie będzie, zwrócić się do jego żony. O ileby i jej nie było, to poszukać pana Z. /adres i cechy rozpoznawcze/, z tym samym hasłem. Oni dostarczą przewodników do miasteczka na Słowacji, którego nazwy panienka nie pamięta. Jest tam karczma pewnego Żyda, który wymieni pieniądze i dostarczy taksówkę przez Słowację, oraz skieruje do przewodników na stronę węgierską, do Koszyc. Adres konsulatu polskiego w Budapeszcie jest Vaci Utca 34. Węgierskich posterunków również unikać, bo mogą odstawić z powrotem. Trzeba wziąć na drogę albo trochę waluty, albo złotych przedmiotów, albo bardzo pożądanej na Słowacji herbaty. Marsz z Krynicy przez góry bardzo uciążliwy. Do powtarzania tej marszruty innym nie jestem upoważniony. Gdyby ktoś swój na drodze

pytał, od kogo mam informacje, trzeba odpowiadać że od "profesora".

- To wszystko. Szczęśliwej podróży i do widzenia.

W całym tym planie razi mnie ten Nowy Targ /z omijaniem Krakowa? niby którędy go omijać?/. Podejrzewam omyłkę i podsuwam panience, że to pewno o Nowy Sącz chodzi. Ale ta jest pewna swego i upiera się przy Nowym Targu.

Postanawiam jechać do Krakowa, a czy dalej pojedziemy na Nowy Targ czy do Krynicy, to się właśnie tam dowiemy. Wobec tego, grunt dostać się do Krakowa.

Teraz pozostają dwa szkopuły. Pieniądze na drogę i mróz. A mróz siarczysty. Jakiego od lat już nie było, co przy okropnym stanie kolei i powybijanych szybach, może stać się przeszkodą nie do przezwyciężenia. Gdyby podczas takiego mrozu wyrzucono nas z wagonu, lub przyszłoby nocować w wagonie bez szyb, płuca chłopca gotowe nie wytrzymać.

Postanawiamy więc z żoną, że przeczekamy aż zelżeje, a tymczasem przystępujemy do wysprzedaży, celem zdobycia pieniędzy. To ostatnie udaje się dzięki drugiemu szwagrowi, pod którego opieką też zostanie żona aż do czasu, kiedy przy pomocy krewnych zagranicą, wyrobi sobie wizę na wyjazd do neutralnego kraju.

Wobec załamania się Francji, biedaczka nie doczekała się tej wizy.

Ale mróz trwa. Pożegnałem się z przyjaciółmi. U państwa W. pani ze zgrozą wysłuchała wiadomości, że chłopca swego narażam na "coś podobnego", ale pannom oczy się świeciły i widziałem, że całkowicie akceptują nasze postanowienie. Pan domu uściskał mnie serdecznie.

- Daj Boże, a trzymajcie się panie Tadeuszu!

No, i czekamy na pogodę.

Po kilku dniach zaczyna mnie to niecierpliwić. Ludzie opowiadają, że na trasie żadnych zmian niema, ale droga jest tak trudna, że dwaj młodzi oficerowie, którzy się tam wybrali, wrócili i mają zamiar próbować na Wilno-Litwę.

Zapytuję, dlaczego wrócili. - "Z powodu przyroda, czy z powodu ludzie?" - "Z powodu przyroda, śniegi powyżej wzrostu człowieka".

- Tego się mniej boję. Jak ruszymy, to przejdziemy; zato warty przy takich śniegach też będą unieruchomione.

- Ano, może i racja.

Nakoniec mróz spadł do około 15 stopni i decydujemy, że trzeba ruszać. Żona wstrzymuje jeszcze. Pomimo całego swego samozaparcia i poświęcenia, nie może się z nami w ostatnich chwilach rozstać i przewleka, choć o trzy dni jeszcze, choć o jeden.

Robimy to dla niej /nam też ciężko przychodzi to rozstanie/ i pozostajemy jeszcze trzy dni.

Siedzimy we trójkę w pokoju przy piecyku. Na dyktach wprawionych w okna, szron. Jurek snuje marzenia, jak to i co to będzie, jak przyjedzie do Francji, a potem pójdzie z tatusiem do wojska itd.

A my milczymy, a jeśli mówimy to o tym, jak się żona wydostanie z tej matni, lub o jakichś ostatnich pomysłach porozumiewania się w listach. Tłumaczę też jej, że między naszym ostatnim listem tu w kraju, a pierwszym z Węgier będzie dłuższa przerwa /skok przez Słowację/ może nawet kilkutygodniowa, więc żeby nie płakała.

Przed paru dniami zrobiłem u rejenta generalną plenipotencję dla niej i dla szwagra, do rozporządzania się naszą posiadłością w C., więc z tej strony trudności nie będzie. I tak te trzy dni mijają.

Jest 12.II.1940 roku. Pakujemy malutkie walizeczki, aby przynajmniej na początku podróży mieć trochę rzeczy. W miarę zbliżania się ku granicy, będziemy się ich wyzbywać i, jesteśmy gotowi. Jedziemy we trójkę. Ja z Jurkiem i Tomek P., który się na to zdecydował od razu, a raczej który jeszcze przed moją decyzją ciągle tę myśl podsuwał.

Przez cały poprzedni tydzień kombinowałem, w jaki sposób możnaby było wycyganić przepustkę na

pociąg pospieszny, bez której Polakom nie wolno było korzystać z nich.

Tymczasem przedwczoraj zarządzenie to zostało odwołane, i nawet polecano odwrotnie, że Polacy mogą bez specjalnego pozwolenia jeździć właśnie pociągami pospiesznymi. Nastąpiło to prawdopodobnie z powodu wyższych cen w pociągach pospiesznych, bo co do szybkości, to różnicy prawie nie było.

Za dnia jeszcze dowiedziałem się, że pociąg do Krakowa odchodzi o godzinie 11 wieczorem, a że po mieście wolno chodzić tylko do godziny 8, mieliśmy więc w perspektywie dłuższe wyczekiwanie na peronie dworca, na mrozie.

Wieczorem przyszli pp. M., pożegnać nas i Tomka P. Pożegnałem się z rodziną i ruszyliśmy. Prowiant mieliśmy, pieniądze też, więc nic nie brakuje.

W ostatniej chwili przyjeżdża jeszcze na dworzec żona, bo zapomnieliśmy zabrać manierkę z gorącą herbatą. Nie mogła wytrzymać "bo na taki mróz przecież się przyda".

&

& &

Ubrani jesteśmy ciepło. Chłopiec ma jeszcze naciągnięty na płaszcz kożuszek, który przywiozłem z wojny. Ja jestem znowu w swoich wojennych filcowych butach z Hrubieszowa, przypuszczamy przeto, że nam mróz podczas oczekiwania nie da rady. Ale trzeba chodzić, a nie siedzieć. Spostrzegam, że biuro informacji jest otwarte do godziny 9, a że jest tam ciepło, więc się ładujemy. Cała salka wypełniona już po brzegi takimi samymi jak i my, oczekującymi na pociąg pasażerami. Przysiadamy w końcu na walizeczkach i trwamy do 9. O tej godzinie wchodzi na salę żołnierz i normalnym niemieckim charczącym głosem wrzeszczy:

- Alle Po_acken heraus!!

Ludziska rzucają się do drzwi i pchają się okropnie, bo żołnierz od czasu do czasu pomaga sobie kolbą.

D.c.n.

Marszałek Badoglio.



Marszałek
Pietro Badoglio

Podany poniżej w streszczeniu z Observera artykuł o marszałku Pietro Badoglio jest nader interesującym, ze względu na możliwą rolę, jaką w tej wojnie może jeszcze odegrać armia włoska.

Włosi, to naturalny sprzymierzeniec Polski. Los tego narodu powinien przeto obchodzić każdego Polaka. I wydaje się, że marsz. Badoglio, aczkolwiek stał w przeciwnym nam dotąd obozie, nie jest obojętnym dla żołnierza polskiego.

Marszałek Badoglio cieszył się we Włoszech wielką popularnością, gdyż w swoim czasie ocalił Włochy od klęski. W 1918 r. państwa centralne, Niemcy i Austria, zamierzały stworzyć drugi front przeciwko Francji przy pomocy dywizji, które wycofano z frontu wschodniego po wojskowym załamaniu się Rosji. Plan ten polegał na przełamaniu frontu włoskiego i zajęciu północnych Włoch. Armia włoska udaremniła ten plan w bitwie nad Piavą 15 czerwca 1918 r.

Badoglio był wówczas zastępcą naczelnego wodza armii włoskiej, generała Armando Diaz'a. Zrywając z zasadami dotychczasowej taktyki, zaangażował on całą ciężką artylerię włoską, umieszczając ją tuż za linią frontu i ryzykując jej bezpieczeństwo. Na cztery godziny przed spodziewanym atakiem przeciwnika artyleria włoska otworzyła huraganowy ogień na tyły nieprzyja-

ciela, niszcząc i dezorganizując pozycje odwodów i linie zaopatrzenia. Ofensywa austro-niemiecka została złamana w zarodku, a bitwa nad Piavą dała Badoglio ławę zwycięzcy.

Badoglio nie miał żadnej sympatii dla reżymu faszystowskiego. Dał tego dowód, proponując królowi na 6 miesięcy przed marszem Mussoliniego na Rzym przepędzenie faszystów przy pomocy kompanii wojska. Jednak ten syn piemonckiego wieśniaka, wychowany w tradycji wojskowej, uważał własną niechęć do faszyzmu za rzecz drugorzędną. Musiał odsunąć tę niechęć od siebie, aby nie wejść w konflikt z królem i krajem, jako najwyższymi dla niego symbolami władzy. Gdy więc faszyści objęli rządy w kraju za zgodą króla, Badoglio pogodził się również z nowowytworzoną sytuacją.

Régime faszystowski nie mógł sobie pozwolić na to, aby człowiek tak popularny jak Badoglio pozostawał z boku i był tylko neutralnym obserwatorem. Mussolini powierzył mu przeto stanowisko ambasadora włoskiego w Brazylii. W 1928 r. Mussolini chciał mocniej związać Badoglia z régime'em faszystowskim i mianował go gubernatorem Libii. W 1929 r. Badoglio otrzymał tytuł markiza Sabotino. Sabotino to nazwa szczytu górskiego, wznoszącego się nad rzeką Isonzo, który Badoglio w 1916 r. odebrał Austriakom po ciężkich walkach.

Piotr Badoglio jest synem średniej zamożności piemonckiego farmera i pochodzi z miejscowości Grazzano Monferrato. Jest to krzepki, twardy żołnierz, prowadzący skromny tryb życia. Nie lubił wspaniałego otoczenia swego kolonialnego pałacu gubernatorskiego, życia towarzyskiego i nie bardzo umiał pogodzić się z pobieraniem swego wysokiego uposażenia. Oszczędzał więc pieniądze z typowo chłopską zapobiegliwością i kupował ziemię w rodzinnych stronach.

Nie miał żadnych skrupułów, gdy w 1935 r. z rąk niedoświadczonego marszałka de Bono przejmował naczelne dowództwo w kampanii abisyńskiej. Nie przyszło mu na myśl zapewne, że ratuje wów-

czas prestige faszyzmu z bardzo trudnej sytuacji, w której znalazły się wojska włoskie dzięki polityce Mussoliniego i strategii de Bono. Król powołał go na to stanowisko, a armia włoska była w niebezpieczeństwie: to mu wystarczało. Po zwycięstwie, osiągniętym dzięki zastosowaniu trujących gazów, został mianowany vice-królem i księciem Addis Ababy. Partia faszystowska obdarzyła go członkowstwem honorowym. Jest rzeczą uderzającą, że Badoglio przez tak długi czas nie był członkiem partii, mimo, że było rzeczą znaną, że nawet najmniejszy urzędnik musiał do niej należeć.

W 1940 r. Włochy wypowiedziały wojnę i Badoglio ponownie został powołany dla objęcia dowództwa. Tym razem nie miał jednak złudzeń. Był dotychczas jednym z niewielu niezwyciężonych generałów naszych czasów i wiedział, że Włochy nie unikną klęski. 15 listopada 1940 r. na spotkaniu w Insbrucku z gen. Keitlem zażądał pomocy niemieckiej w Grecji. Keitel obiecał ją dać pod warunkiem, że dowództwo operacyjne oddane zostanie w ręce niemieckie. Badoglio podał się do dymisji. Uniknął w ten sposób klęski, lub czegoś gorszego.

5 grudnia król przyjął jego dymisję. Jeżeli sprawy przyjęłyby zły obrót dla korony włoskiej, będzie wygodniej mieć pod ręką człowieka, który zdobył się na rzucenie wyzwania faszyzmowi. Do domu Badoglio nieprzerwanie napływały kwiaty z całych Włoch.

Sprawy przybierały coraz gorszy obrót. Żołnierz włoski nie miał serca do tej wojny, naród zaś głośno krzyczał przeciwko niej, przeciw Niemcom i królowi, który zgodził się na sojusz wojskowy z Rzeszą. W końcu przenikliwy, a nie zbyt pewny siebie Victor Emmanuel III przekonał się, że nadszedł czas, aby rzucić na widownię swego wiernego, długo chowanego w cieniu "anty-faszystę i w ten sposób uniknąć rewolucji. Badoglio był gotów na wszystko. Jak dawniej podporządkował się Mussoliniemu, słuchając rozkazów korony, tak obecnie wyrzucił Mussoliniego, aby tę koronę ratować.

Lecz chociaż dotychczas nie przegrał żadnej bitwy, zaczął się obawiać, że obecnie przegra wojnę. 25 czerwca, uznając legalność zawartego przez Mussoliniego sojuszu z Hitlerem oświadczył: "Wojna trwa dalej". Wtedy dopiero zaczął starać się o uzyskanie możliwego bezpieczeństwa dla narodu włoskiego i jaknajlepsze warunki kapitulacji dla wojska. Lecz naród włoski, wydawało się, nie dbał wiele ani o jedno, ani o drugie. Interesował go tylko koniec wojny i koniec faszyzmu.

Wobec tego Badoglio musiał skapitulować. Podpisał zawieszenie broni, które według słów Prez. Roosevelta jest "wielkim zwycięstwem Sprzymierzonych i narodu włoskiego". I obecnie jest on znowu u szczytów, jako sojusznik, czy też współwojujący u boku Sprzymierzonych. Wydaje się, że i tym razem zachowa on swą sławę wodza, który nigdy nie przegrywa.

Czy wiecie, że...

Tajne i pilne. Bidu Sayao, brazylijska śpiewaczka koloraturowa przyjechała do Nowego Yorku, aby podpisać kontrakt na serię występów operowych. Impresario miał wszystko gotowe, trzeba było tylko podpisać kontrakt. Dając go do podpisu, speszył się jednak, widząc, że matka śpiewaczki szepcze jej coś uporczywie do ucha. Gwiazda operowa zaś potakiwała jej głową. Impresario niechętnie podniósł proponowaną sumę. Lecz matka śpiewaczki, prawie nie mówiąca po angielsku, ciągle coś namiętnie szeptała córce do ucha. Impresario sądząc, że chodzi jej o wysokość honorarium, dwukrotnie podniósł sumę aż w końcu, wyczerpawszy swe możliwości, powiada:

-"Miss Sayao, to jest moja najwyższa oferta. Więcej nie mogę pani zaproponować. Albo pani podpisze, albo zrywamy kontrakt."

-"Ależ oczywiście, podpisuję". Odpowiedziała z uśmiechem Bidu.

Wtedy matka znów ją schwyciła nerwowo za rękaw. Śpiewaczka zarumieniła się i wyjąkała: "Moja matka chciałaby się dowiedzieć - gdzie jest pokój dla pań".

Rodzina Churchill'ów. Pani Roosevelt opowiada o pewnym obiedzie, do którego zasiadł Churchill z rodziną. Premier uznał, że może podzielić się ze wszystkimi dobrą nowiną: "Sprzymierzeni lądują teraz w Afryce".

"Wiem o tym od kilku tygodni" - odpowiedziała córka, Sara Churchill. "Dowiedziałam się, pełniąc funkcję oficera łącznikowego między RAF'em a lotnictwem amerykańskim."

"Czemuś mi wtedy nic nie powiedziała"? - zapytał Churchill.

"Nie wiedziałam bowiem, że ty nic o tym nie wiesz".

Serca i kwiaty. Rzecz dzieje się na ślubie. Pan młody wrócił właśnie z frontu na wyspach Salomońskich i miał zaledwie tyle czasu, aby spojrzeć przelotnie na swą narzeczoną i przygotować się do ślubu. Gdy więc po ceremonii mógł ucałować, według zwyczaju, swą młodą żonę, pocałunek trwał tak długo, aż ciszę kościelną przerwał głos jakiegoś dziecka:

"Mamusiu, czy on teraz rozpyla na nią pyłek kwiatowy"?

Oto opowiadanie małego, ośmioletniego chłopca, który jechał z Bostonu do swej babki z wizytą i całą podróż odbył sam. Gdy przyjechał na miejsce, opowiadał babce, że cała podróż była właściwie bez wrażeń z wyjątkiej małej przygody, którą miał z pewnym marynarzem. Matka umieściła go w przedziale i wkrótce jakaś piękna pani usiadła obok niego. Rozmawiał z tą panią przez długi czas, aż wreszcie pociąg zatrzymał się na jakiejś stacji i do przedziału wsiadło wielu, bardzo wielu marynarzy. Później znowu długo jechano, aż w końcu pociąg zatrzymał się i piękna pani wysiadła. "I wtedy" - opowiada chłopiec babce przerażonym głosem - "jeden z marynarzy strasznie się rozgniewał. Podszedł do mnie i powiedział: "Słuchaj pętaku, to nie mogłeś wcześniej powiedzieć, że ta pani nie jest twoją matką"?

Pewien młody emigrant, Holender, z zawodu kupiec diamentami, zaciągnął się do armii amerykańskiej. Ze względu na swój zawód opanował w swoim czasie nie tylko język angielski, lecz ponadto znał dobrze hiszpański, niemiecki, francuski, wło ski i szwedzki. Prosił więc, aby go przydzielono do służby wywiadowczej, albo do wojsk łączności. Przydzielono go przeto do wojsk łączności i.... dano mu pod opiekę gołębnik z gołębiami pocztowymi.

Pewien profesor biologii w ten sposób wyjaśniał swym uczniom rozmnażanie się ryb. "Naprzód samica składa ikrę, później przychodzi samiec i użyźnia ją i w końcu wylęgają się małe rybki".
Jedna z uczennic podniosła rękę: "To znaczy, panie profesorze, że samiec i samica.....że oni.. ...że przedtem nic się nie dzieje?"
"Nic" - odpowiedział profesor - "i to wyjaśnia dlaczego mówimy: 'poor fish'".

Co będzie po wojnie. Co się stanie z tymi milionami żołnierzy, gdy po wojnie wrócą do domu, a fabryki wojenne wypuszczą z "asembly line" ostatni czołg, ostatnią armatę i ostatni bombowiec? Oto pytania, które niepokoją sfery ekonomiczne Stanów Zjednoczonych. Studia nad znalezieniem dla tych milionów zwolnionych wojowników pracy i przestawieniem przemysłu wojennego na produkcję pokojową, odbywają się w całej pełni. A prognozy nie są bynajmniej pesymistyczne. Naogół fachowcy przewidują niebywałą w historii "prosperity." Gdy nastanie pokój, ludzie będą spragnieni towarów codziennego użytku, gdyż obecne maszyny do prania, frigidairy, radia oraz te tysiąc przedmiotów, składających się na życie amerykańskie, będą już zużyte i przestarzałe.
Obliczenia np. wykazały, że przemysł będzie musiał wyprodukować około 5.500.000 samochodów osobowych rocznie, przez okres pierwszych pięciu lat by nadrobić zaległości wojenne.
Popyt na nowe przedmioty przemysłu oraz konie-

czność zastąpienia starych, może dać zatrudnienie nie tylko wszystkim powracającym do życia cywilnego żołnierzom, lecz również tym 25.000.000 mężczyzn i kobiet, pracujących obecnie w przemyśle wojennym.

Ale sprawa rozwiązania tego problemu nie przedstawia się łatwo, przede wszystim trzeba będzie około roku, by przekształcić obecne fabryki wojenne na przemysł pokojowy. A co w tym okresie zrobić z dziesiątkami milionów pracowników, czekających na nowe zatrudnienie? Przesunięcia w przestrzeni oraz zmiany w zatrudnieniu dotyczyć będą 20.000.000 robotników. "The Committee for Economic Development", instytucja zajmująca się tymi zagadnieniami, obliczyła, że w roku 1940 było 49.000.000 ludzi pracujących, dzisiaj zaś jest ich 62.000.000. By dać im wszystkim zatrudnienie przemysł musi produkować o 40% więcej towarów, niż w roku 1940.

Statystyki wykazują, że środków pieniężnych na zakup nowych towarów nie zabraknie poszczególnym osobom. Na rynek zostaną rzucone oszczędności bankowe oraz bony wojenne jako środek płatniczy, poza tym intensyfikacja produkcji pokojowej da milionom ludzi zarobki i możność podniesienia stopy życiowej.

Wymieniony "Komitet Ekonomicznego Rozwoju" już dziś służy radą właścicielom fabryk, jak przechodzić na produkcję i ekspansję pokojową oraz jak przygotować się technicznie do powojennej kampanii przemysłowej i handlowej.

Hasło najpopularniejsze: Amerykanie nie dopuszczą do tego, by weterani wojny sprzedawali na ulicach jabłka, tak jak to miało miejsce po roku 1918!!

/źródło: Tygodnik Polski Nr.37/.

Znaczenie Austrii. Pod powyższym tytułem R. Arnold Jones przypomina w "Weekly Review" z dn. 5 sierpnia powiedzenie kardynała Hinsleya, że "dla pokoju w Europie niezbędne jest przywrócenie Austrii wolności i dobrobytu". Zdaniem autora

artykułu jednym z największych błędów Wersalu było zniszczenie imperium austriackiego, gdyż w ten sposób, jak się wyraził Chesterton, "nie ukaraliśmy prusactwa w Prusach, a ukaraliśmy je tylko w Austrii", niszcząc zarazem główną przeciwwagę Rzeszy w Europie środkowej.

Parafrazując słowa Talleyranda, autor kończy twierdzeniem: "Austria przestała istnieć i trzeba ją wobec tego wynaleść".

Konferencja w Moskwie Austrię znalazła.

/źródło: Tygodnik Polski Nr. 37/.

"Is your journey really necessary?" W Londynie krąży taki dowcip. Ktoś powiedział, że pan Benesz bardzo ładnie postąpił ulegając perswazjom Anglików i nie jedzie do Moskwy. Na to ktoś drugi: "Nic podobnego. Pan Benesz wcale niczyich rad nie słuchał, tylko poszedłszy na dworzec i przeczytawszy plakat "Is your journey really necessary?" sam się cofnął".

/źródło: Tygodnik Polski Nr. 37/.

Winston Churchill powiedział w Quebeku: "Drugi front będzie stworzony tylko wtedy, gdy zyskamy przekonanie, iż życie naszych żołnierzy będzie poświęcone dla zdrowych celów militarnych, a nie trwonione dla tendencji politycznych różnego autoramentu".

/źródło: Tygodnik Polski Nr. 37/.

Oto wóz, jakiego właścicielem w kilkanaście lat po wojnie powinien być przynajmniej każdy setny polski obywatel...



Published by J. [illegible], Edinburgh
Printed by "Co Słychać" - 43, Bruntsfield Place